

Teksty Drugie 2007, 3, s.101-106



CENTRUM
HUMANISTYKI
CYFROWEJ

Podmiot w doktrynie

Wojciech Tomasiak

Podmiot w doktrynie

„Jeden dzień...”¹ to formuła artystyczna, której epoka komunizmu nadała nowe, oksymoroniczne znaczenie. Aleksander Sołżenicyn, pokazując przed laty doświadczonego „łagiernika” w zmaganiach z powszednią dawką obozowego horroru, unacznił, jaki kształt przybiera codzienność w świecie ruszonym z posad i jak wygląda zwyczajność czasów ze wszech miar niezwykłych. Tytuł najnowszej książki Jacka Łukasiewicza tę oksymoroniczność wykorzystuje i – by tak rzec – potęguje. Jest bowiem różnica między – dla przykładu – „jednym dniem w socjalizmie (stalinizmie)” a tytułowym „jednym dniem w socrealizmie”. Ta druga formuła zespala różne porządki: praktyczny i artystyczny. „Jeden dzień...” kojarzy się z powszednią krzątaniną, z tym, co normalne, naturalne, powtarzalne i znane, podczas gdy „socrealizm” jest kategorią ze sfery sztuki, a więc – odnoszącą się do przedsięwzięć wyjątkowych, odświętnych, niemieszczących się w życiowej rutynie. Spędzić dzień w sztuce można pod warunkiem, że jest się artystą i traktuje całą rzeczywistość jako kreację. Ale w świecie radykalnie zmienionym, ruszonym z posad, wszyscy musieli być artystami (architektami jutra, „budowniczymi gmachu socjalizmu”), granica między życiem a twórczością zanikła – podobnie jak ta oddzielająca teraźniejszość (dokuczliwa zwykle) od zapowiadanej (i dostatniej) przyszłości, dzień powszedni od święta. W tytułowym szkicu książki (*Jeden dzień w socrealizmie*) Łukasiewicz opisuje stalinizm z tej właśnie perspektywy: z wnętrza „tekstu obrzędowego” formowanego przez doniesienia prasowe, od strony *praxis* fikcjonalizowanej przez gazetowe słowo.

¹ J. Łukasiewicz *Jeden dzień w socrealizmie i inne szkice*, Wyższa Szkoła Zarządzania Marketingowego i Języków Obcych, Katowice 2006.

Roztrząsania i rozbiory

Książka ma dwudzielną kompozycję i składa się z mniej więcej równych objętościowo części. Pierwsza nosi tytuł *Władza doktryny* i obejmuje tytułowy szkic oraz trzy inne, w których przedmiotem zainteresowania autora jest realizm socjalistyczny, oglądany bądź jako system ideologiczno-artystyczny (*Mit socrealizmu*), bądź jako indywidualne (a nieortodoksyjne) tego systemu realizacje (w poemacie Szenwalda i twórczości Szymborskiej). Na drugą część, opatrzoną tytułem *Władza podmiotów*, składają się teksty o Białoszewskim oraz szkice o innych powojennych debiutantach: Herbercie i Grochowiaku. Jak zapowiada we wstępie autor, zastosowany w książce podział ma charakter umowny, w istocie bowiem jest to rzecz o poetach, z których każdy był mieszkańcem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, miał swój „jeden dzień w socrealizmie”, a później jakoś z doświadczeń tego dnia korzystał.

Problematykę, którą porusza Łukasiewicz, można opisać jeszcze inaczej, wykorzystując sugestię, jaką podsuwa kompozycyjna symetria i paralelizm tytułów obu części (*Władza doktryny* – *Władza podmiotów*). Sugestię tę klaruje taki oto fragment wywodów:

Konstruując [...] obraz świata na podstawie paradygmatu gazety wchodzę do wnętrza tekstu obrzędowego i tam nie napotykam osoby. Przeto moja opowieść o jednym dniu w socrealizmie nie może się udać: brak jej bohatera, brak osobowego, percypującego w tamtym czasie podmiotu – z jego własną przeszłością, pamięcią, emocjami. Pomiędzy nim a socrealistycznym obrzędem jest sprzeczność – odsłaniająca fałsz nie indywidualnej biografii, jak chciał tamten system, lecz właśnie fałsz obrzędowego systemu. (s. 92)

We współczesnej refleksji nad komunizmem powraca często myśl o konflikcie między monoideologią a zdrowym rozsądkiem, między oficjalnym obrazem świata a tym, jaki podpowiadało życiowe doświadczenie. Socrealistyczna poezja, którą opisuje Łukasiewicz, dokumentowała niekiedy ślady tego konfliktu. Zwłaszcza u poetów młodych, „uczących się mówić”, oficjalną wizję świata mącił czasem okrucieństwo osobistego przeżycia, abstrakcyjny wywód ocieplały słowa poświęcone własnej biografii, tor mowy uczonej i niczyjej osuwał się niebezpiecznie w krwisty konkret... Taką właśnie niespójność odsłania Łukasiewicz w debiutanckim tomiku Tadeusza Nowaka, gdzie (jak w wyrażeniu „Szalejący terror siekier w lesie zbudzonym wiosną”) przez szczelinę w marksistowsko-leninowskiej powłoce słów przeziernie podmiot, który opiewa stereotypową walkę o lepsze jutro, ale zarazem rejestruje jej najprawdziwsze, bolesne koszty (przycinanie drzew wiosną dotkliwie je rani). Podobny chwyt interpretacyjny znajdziemy w szkicu o Szenwaldzie (*Balada spod Lenino*): rekonstruuje tu badacz obraz bitwy, sprowadzonej „do skali zmęczonego nią nieładzko człowieka” (s. 116), obraz rozsadzający pożądaną (bo schłodzoną) formę ody.

Otwierający całość szkic o „micie socrealizmu” diagnozuje przyczyny konfliktu, o jakim tu mowa, i choćby z tego względu wymaga osobnego i uważnego potraktowania. Nie wiem, czy tytuł został tu dobrze wybrany: użyta forma dopełniaczowa („socrealizmu”) może bowiem wskazywać, iż przedmiotem analizy są roz-

maite praktyki narracyjne próbujące – z perspektywy czasu – realizm socjalistyczny jako uszlachetnić, przekształcić w legendę, wyłączyć spod krytycznego osądu. Sztukę i literaturę lat 50. rzeczywiście mitologizowano, bo były one w peerelowskim świecie zagarniane przez narrację o świata tego narodzinach, o tym, jak w lipcu 1944 (w październiku 1917) z historycznego chaosu zaczęły wyłaniać się kształty nowe, które potem – w ogniu walki klasowej – twardniały, nabierając coraz wyraźniejszych konturów, by złożyć się na koniec w nową i trwałą jakość: ustrój sprawiedliwości społecznej. W tym sensie „mit socrealizmu” byłby składową opowieścią o „trudnych początkach” („okresie błędów i wypaczeń”) i o całopalnej ofierze, którą artyści musieli kiedyś złożyć na ołtarzu Historii (bo – „rewolucji nie trzeba metafor”). Łukasiewiczza zajmuje coś innego, to mianowicie, „jak literatura, a przede wszystkim poezja socrealizmu służyła mitowi, jak była nim przeniknięta, jak mit ów współtworzyła” (s. 11). Mówiąc inaczej: badaczka interesuje porządkująca moc literatury z lat 50., pyta o to, w jaki sposób socrealizm próbował zaspokoić jedną z najważniejszych (i nieredukowalnych) potrzeb człowieka. Głód sensu.

Mit „objasnia i usprawiedliwia całość doświadczenia” (s. 11), stanowi zatem strukturę wszechogarniającą, integrującą wszystkie odpowiedzi na pytania, jakie mogą być przez jednostkę świata postawione. W normalnym społeczeństwie na część z tych pytań odpowiada nauka, na inne – kodeks etyczny, prawdy wiary, ideologie i programy polityczne, normy zachowań i indywidualne doświadczenie. Systemy totalitarne kładą kres takiej dywersyfikacji: system wyjaśniający jest tu jeden. Tej prostoty nie odzwierciedla nazwa samego systemu, wręcz przeciwnie: najczęściej jest ona wielce skomplikowana, wielozłonowa, trudna do zapamiętania i powtórzenia, funkcjonująca z różnymi wariantami, wyrafinowanymi odmianami, oddającymi sprawiedliwość ojcom-fundatorom, najwybitniejszym egzetom, najzdolniejszym uczniom. W komunizmie mieliśmy zatem „materializm dialektyczny”, „materializm historyczny”, „materializm dialektyczny i historyczny”, „diamat”, „marksizm-leninizm”, „marksizm-leninizm-stalinizm”... Łukasiewicz trafnie zauważa, iż w komunistycznej rzeczywistości wszystkie te nazwy mają konotację naukowości, a to, co nazywają, uchodzi za naukę. Przekonanie, że nauka może zagwarantować interpretację całości ludzkich doświadczeń i że może w tym zakresie zaoferować o świecie prawdę pewną, niekwestionowalną i niedyskutowalną, nazywa badacz (zob. s. 14) mitem „scjentyistycznym”. O takim micie mowa jest w szkicu książkę otwierającym. Autor pisze też o tym, jak literatura pomagała wyrażać wiarę w świat, który przestał być dla człowieka tajemnicą. Może zatem trafniej byłoby ten rozdział zatytułować „Mit i socrealizm”?

Kategoria mitu okazuje się wielce przydatna do opisu rzeczywistości kreowanej przez stalinowski dyskurs ideologiczny. Pozwala bowiem wyinterpretować z tego dyskursu figury alegoryczne, „upersonifikowane abstrakty”, bóstwa komunizmu, co rzuca światło na naturę totalitarnego wystowienia. Język ideologii komunistycznej nieraz już stawał się przedmiotem opisu, Łukasiewicz wskazuje tu nowy kierunek badawczej eksploracji, prowadzący ku metaforze, a dokładniej – ku prak-

tyce personifikacyjnej. Rzeczywistość komunistyczną zaludniają bóstwa, których panteon może przywołać na myśl antyczne mitologie. Wśród nich są te najważniejsze, wszechwładne (Historia, Rewolucja, Pokój), i te poślednie, „przechodnie” (Partia, Plan Sześćioletni). Oczywiście, wszystkie stoją na straży nowego porządku wartości, który – w rytualnych praktykach – ulega potwierdzeniu, wzmocnieniu i odnowieniu. Figurze personifikacji towarzyszy w dyskursie komunistycznym zabieg, który stanowi jakiś rodzaj hiperboli, a który nazwać trzeba – dla podkreślenia swoistości – „hiperbolą deifikującą (diwinizującą)” (historycy mówią wprost o deifikacji i sanktyfikacji bohaterów). Zabieg ten wprowadza do komunistycznego panteonu bóstwa osobowe. Tu także nie było równości: para Stalin i Bierut najlepiej tę nierówność pokazuje.

Wywody o figurach komunistycznego dyskursu, są moim zdaniem, kluczowymi fragmentami książki Łukasiewicza. Pozwalają bowiem pojąć, jak niewielki dystans dzielił monoideologię od literatury (poezji) i jak bardzo poetyckie słowo pomagało dystans ten niwelować. Alegoryzacja dokonuje się w literalnym odczytaniu. Kiedy Ważyk w poemacie *Lud wejdzie do śródmieścia* mówił o stojącej na rusztowaniach Partii, to rysował jednocześnie dwa obrazy: pracujących murarzy (być może – członków partii lub ludzi skierowanych do pracy przez partię, zmobilizowanych przez nią do wysiłku, być może też – robotników ideowo uświadomionych) i Partii. Murarzy można było zobaczyć na rusztowaniu, Partię – powinno się było tam dostrzec. Literatura tę dialektykę postrzegania świata oddawała po wielokroć. Przypomnijmy sobie choćby słowa Majakowskiego: „Mówimy – Lenin, a w domyśle – partia, / Mówimy – partia, a w domyśle – Lenin”. Poezja mówi o dwóch światach (opisuje rzeczywisty, kreując zarazem swój własny), dlatego tak dobrze nadaje się do rozprawiania o złożonej naturze naszej codzienności, o jej rozwarstwieniu, z którego nie wszyscy zdają sobie sprawę.

Tytułowy szkic o „jednym dniu” przenosi nas do rzeczywistości przez słowo wykreowanej, do świata, gdzie lud pracujący miast i wsi kroczy pod przewodnictwem Partii drogą socjalistycznych przemian, gdzie od czasu do czasu daje znać o sobie wróg, ale mądrość Partii stanowi gwarancję, że z drogi przemian nikt i nic nie zdoła nas już zawrócić. Wywody Łukasiewicza prowadzić mogą do wniosku dość zaskakującego, choć zarazem – wydającego się po chwili refleksji – wnioskiem trafnym: czytelnika gazet ćwiczyła socrealistyczna poezja; to dzięki sile poetyckiego słowa prenumeratorka „Trybuny Robotniczej” mógł wejść do gazetowego świata walki klasowej i poznać tam smak zwycięstwa. Łatwo powiedzieć – „wejść”. W zacytowanym przeze mnie na początku urywku Łukasiewicz określa warunki, jakie należy spełnić, by znaleźć się w lepszym, gazetowym świecie: trzeba – bagatela! – rozstać się z „własną przeszłością, pamięcią, emocjami”. Konsumowanie komunistycznego dyskursu ideologicznego oznacza zatem fikcjonalizację podmiotu. Staje się on bytem papierowym, bo tylko jako taki może skorzystać z mądrości Partii, pójść za nią drogą zwycięstw, gromiąc na tej drodze wrogów zewnętrznych i wewnętrznych. Komunizm wymagał amputowania pamięci – także (a może: przede wszystkim) językowej. Pamięć o znaczeniach słów musiała być

pogrzebana wraz z wszystkim, co stare. W potocznym rozumieniu partia powstaje z rozpadu, dzielenia całości na frakcje, różnicowania się tego, co kiedyś było jednorodne. Partia (pisana dużą literą) – przeciwnie – powstaje z połączenia („zjednoczenia”), jest symbolem harmonijnej jednogłosowości i idealnej jedności. Żeby odróżnić oba znaczenia (stare i nowe), należało tę drugą nazwać partią „prawdziwą” i – konsekwentnie – nazywać tak całą kreowaną przez nowe słowa rzeczywistość. Siłę „prawdziwościowej” kwalifikacji miał zapewniać autorytet nauki.

Albo podmiot (z „przeszłością, pamięcią, emocjami”), albo doktryna. W drugiej części książki Łukasiewicz zajmuje się literaturą „upodmiotowioną” po przełomie 1956. Ale – jak wspominałem – i w socrealistycznym pisaniu zdarzały się nieszczęśliwości doktryny, przypadki, gdy (niekiedy wbrew zamiarom twórców) przez gładź mowy uczonej przebijało się chropawe „ja” poety, osądzające świat wedle własnych miar. W szkicach o Szyborskiej, Herbercie i Grochowiaku Łukasiewicz dużo pisze o ironii. Ironiczny dystans jest dobrym sposobem na przetrwanie (i przetrwanie) historycznych zawirowań. Ale za postawą ironisty kryje się coś jeszcze: „wyculenie [...] na słowa, ich bezradność, niedopasowanie do świata” (s. 226). Doświadczenie totalitaryzmu utrwaliło się w poezji w szczególnej formie, co dobrze obrazuje bohater wierszy Grochowiaka: jak zgrabnie puentuje swą książkę autor, składał się ten bohater w 80 procentach z ironii.

Na koniec dwa słowa o tym, co stanowi o osobliwym aromacie recenzowanego tomu. Jest nim także ironia. Od pierwszych zdań czuć, iż książkę pisze... poeta. Nie ma nic szczególnego w trosce o słowo, jaką przejawia badacz literatury. Tu jednak mamy znacznie więcej niż rutynową troskę. Styl Łukasiewicza jest wyraźną deklaracją, która staje się czytelna w kontekście analizowanej opozycji doktryny i podmiotu. Za stylem tym stoją (sparafrazuje autora) przeszłość, pamięć i emocje, te więc jakości, które bronią idiomatyczności mowy, stojąc na straży suwerenności jej podmiotu. Nie będę tej mowy analizował, nie czuję się jeszcze na siłach, by to zrobić. Pozostanę zatem przy stwierdzeniu, że jest w niej dużo ironii – może nie 80 procent (jak u „turpistycznego” Grochowiaka), ale na pewno nie mniej niż 55.

Wojciech TOMASIK

Abstract

Wojciech TOMASIK
Kazimierz Wielki University (Bydgoszcz)

A subject dwelled in a doctrine

A review of: Jacek Łukasiewicz, *Jeden dzień w socrealizmie i inne szkice*, [One day in socialist realism, and other essays] (Katowice 2006).

It is a book about poets (Białoszewski, Herbert, Grochowiak and others), who were citizens of the Polish People's Republic. Each of them had experienced „a day in socialist realism” and made use of this experience in a peculiar way. Reviewer draws attention to the peculiarity of the Author's style, which is on the one hand marked with irony and on the other it reveals sensitivity of Jacek Łukasiewicz who is himself a poet.